

Człowiek zwany Psem

22 lipca 2020

Wieś ma w sobie coś brutalnego.



Długo zastanawiałem się, czy powinienem o tym napisać, gdyż jest to historia prawdziwa, którą wielu mogłoby potraktować jako zmyśloną. Wprawdzie granica między wyobraźnią a rzeczywistością jest w wielu przypadkach płynna, szczególnie w sztuce i literaturze, to jednak tym razem ważną rolę odgrywa prawdopodobieństwo. A wykładnikiem prawdopodobieństwa owego zdarzenia jest fakt, że każdego roku w zimie zamarzają biedni ludzie. O tym jest ta historia!

Artur Nowidzki zamieszkiwał w małym domku we wsi Jarnoławowice, która leży, jak niektórzy mówią, na końcu świata, ale w rzeczywistości znajduje się ona tuż przy granicy polsko-czeskiej.

Nie bardzo mu się podobało tutaj. Dom stał w niedogodnym miejscu, bo obok ordynarnej knajpy, w której zbierały najgorsze typy ze wsi. Popijali tanie trunki, czasami aż do północy, przy tym przeklinali, wrzeszczeli i wszczynali bijatyki. Pewnego razu grupa takich wiejskich pijaków stanęła przed domem Artura i wyzywała go od najgorszych, tylko

dlatego, że on nie pił z nimi i nie zawierał żadnych znajomości. W ten sposób różnił się od nich, co nie podobało się tej grupce i wzbudzało jej niechęć i agresję.

– Ty dziadu! Ciebie to nawet na wódkę nie stać! – krzyczał swego czasu do Artura niejaki Kulski, miejscowy pijak zwany Kuternogą, bo miał jedną nogę krótszą. Każdy się z nim liczył. No może oprócz własnej żony, która wyrzuciła go z domu. Zamieszkał u brata, a ten miał mocną pozycję we wsi, dobrze trzymał z proboszczem, bo był kościelnym.

Lecz to nie koniec cierpień Artura. Owa pijacka banda postanowiła zniszczyć coś w jego ogrodzie, aby pokazać swoją siłę. We wsi liczył się wśród ludzi ten, kto okazywał się być mocnym w gębie i w rękach. Pewnego dnia zdemolowali mu meble ogrodowe i ukradli metalową bramkę. Kradzież bramki należała do wiejskich zwyczajów i jej celem było pokazanie, że ów delikwent już nie może oddzielić się od reszty i jej podlega – brutalny i rzadki to obyczaj.

Z czasem knajpa zbankrutowała. Straciła swoich bywalców, gdyż w innej części wioski ktoś otworzył nową karczmę. Pijakom spодobało się popijanie w ładnym pomieszczeniu i siedzenie na wygodnych krzesłach.

Artur odetchnął z ulgą po zamknięciu tego siedliska pijaństwa i hałasów. Niestety, na tym jeszcze nie koniec. Dzieci sąsiadów dorastały i zaczęły pozwalać sobie na coraz więcej, zwłaszcza że matka późno wracała z pracy do domu. Ojciec nie wytrzymał owego wiejskiego życia i opuścił ich na stałe. Ponoć wyjechał do Włoch i tam założył sobie nową rodzinę. Opuszczone dzieci koiły swój smutek w rozrywce i różnych zabawach. Zazwyczaj puszczały głośno muzykę i to tak bardzo, że Artur nie wytrzymywał tego.

Czarę goryczy i zniechęcenia dopełniło pewne smutne zdarzenie. Otóż jednej nocy zimy wiatr zerwał mu część dachu i żaden z sąsiadów nie odważył się pomóc w naprawie. Niektórzy pobożni

mieszkańcy, gdy szli rano do kościoła, odwracali głowy w drugą stronę, byle nie patrzeć na dom Artura, a jak wracali z nabożeństwa, to też unikali spoglądania w tamtym kierunku. Nawet cieszyli się z jego nieszczęścia, gdyż ich zdaniem Artur, uważany za bezbożnika, został wreszcie ukarany. On nie był bezbożnikiem, tylko, zgodnie z biblijną zasadą zawartą w pierwszym psalmie, postanowił nie zasiadać w świątyni wspólnie z niegodziwcami.

I tak mijał czas Artura wśród nieżyczliwych ludzi. W jego sercu narastało rozgoryczenie i niechęć do otoczenia. Postanowił milczeć, unikać spotkań i rozmów, a zakupy robił w innej miejscowości.

Jedynymi jego przyjaciółmi były dwa psy. Jeden rottweiler – groźny i straszny, którego otrzymał w prezencie wiele lat temu od kogoś znajomego. Drugi zaś owczarek podhalański – pies łagodny i spokojny, którego przygarnął swego czasu Artur prosto z ulicy. Ktoś we wsi pozbył się tego psa i wyrzucił go pewnej nocy na ulicę. Pies kręcił się po niej przez kilka dni. Pewnego dnia spał w ogrodzie Artura. Ten zlitował się on nad nim, dał jeść i przygarnął. Artur często spacerował z tymi psami. Ludzie widzieli, że dbał o nie i dobrze je traktował.

Mieszkańcy wsi nie rozumieli tego, że człowiek może przyjaźnić się ze zwierzętami. Wieś ma w sobie coś brutalnego. Tu zabijanie zwierząt jest na porządku dziennym, przecież żywność pochodzi z zabijanych zwierząt, więc okazywanie im litości to sprawa nienormalna – tak niestety jest na wsi.

Artur poznał wiejską brutalność. Jego sąsiad, chcąc zaoszczędzić na weterynarzu, postanowił osobiście scyzorykiem kastrować prosięta. Robi się to, aby później u świń uzyskać wyższą masę mięsną. Zwykle zajmuje się tym weterynarz, ale według niektórych lepiej mu nie zapłacić i za to kupić sobie wódkę. Tak uczynił pijany sąsiad, a prosiaki z bólu rozdzierająco kwiczały.

Inny sąsiad z kolei zabił własnego psa. Był to wilczur, który kilkanaście dobrych lat pilnował jego domu. Z czasem zestarzał się i zachorował. Wył z bólu i czuł zbliżającą się śmierć, więc chciał pożegnać się z gospodarzem. Ten wyskoczył wściekły z domu i skopał psa na śmierć. Potem ogolił się, ubrał świeżą koszulę i zawiązał krawat, by wraz z rodziną pójść na spacer, bo w południe miał zacząć się wiejski festyn i zapowiadano promocję lodów truskawkowych i czekoladowych.

Jedna z sąsiadek Artura zasnęła pewnej niedzieli i nie zdążyła zabić kury na rosół. Regułą jest, że zabita i wypatroszona kura musi przez kilka godzin zesztynnieć, dopiero potem wrzuca się do garnka; inaczej nie czynią wiejskie gospodynie. Dlatego uśmierca się drób z rana. Spieszyła się do kościoła i miała na sobie ładną sukienkę. Wtedy to zabiła kurę. Tak mocno waliła siekierą w jej szyję, że krew popryskała ubranie. Z tego pośpiechu nie zauważyła czerwonych plam na nowej ładnej sukience i tak poszła do ludzi.

Pewnego zimowego, mroźnego dnia Artur zachorował – i to tragicznie. Nie mógł nawet się poruszać. Miał silne bóle w okolicy brzucha i każdy ruch ciała je potęgował.

Niestety nie miał we wsi przyjaciół. Ludzie unikali go, do czego przyczynił się dodatkowo fakt, że niektórzy bali się jego psów. W ten sposób Artur nie mógł oczekiwać żadnej pomocy od mieszkańców. Nawet gdyby wezwał pogotowie, nikt nie ryzykowałby spotkania z jego psami.

Jedynymi towarzyszami cierpienia były jego dwa psy. Artur mimo choroby dbał o nie, gotował im jedzenie, dostarczał wodę i wypuszczał do ogrodu. Pewnego dnia miał tak silne bóle, że nie mógł się wyprostować i jednym sposobem poruszania było chodzenie na czworaka. W takiej pozycji wyszedł z psami z domu do ogrodu. Wiadomo, że psy muszą wyjść na zewnątrz z przyczyn fizjologicznych.

– Ty już całkowicie zwariowałeś, że psa udajesz! – krzyknął

ktoś z przechodniów.

Bardzo się tymi słowami zasmucił Artur i postanowił wywiesić kartkę z napisem: „Jestem chory, proszę o pomoc”.

Te słowa napisał na papierze, ale wykonał to farbami wodnymi, bo takie tylko miał, a śnieg oraz wilgoć rozmyły napis.

Tego dnia wieczorem, choć padał śnieg, wyszedł on na czworaka z psami z domu, bo zauważył sąsiadów. Ci przeszli obojętnie, tylko ich dziecko odwróciło głowę, lecz matka je szarpnęła.

– Daj sobie spokój, to przecież wariat! – krzyknęła na dziewczynkę.

Sypał śnieg, jak zwykle o tej zimowej porze, sypał mocno i pokrywał wszystko bezlitośnie swoją bielą.

Nazajutrz przechodzący ulicą koło domu Artura mieszkańcy widzieli w ogrodzie jego dwa psy stojące przy sporej kupie śniegu. Psy wyły i wyły, z zimna i z bólu. Kiedy słońce swoimi ciepłymi promieniami stopiło śnieg, po jakimś czasie koło psów powoli zaczęło się ukazywać leżące ciało martwego Artura.

Autorstwo tekstu: [Marek Sikorski](#)

Zdjęcie: [Claudia Wollesen](#) (CC0)

Z tomu opowiadań pt. „Zgubny urok”

Źródło: WolneMedia.net